

Kinga Dunin

Mądralińskie baby, czyli przechadzka feministyczna dla czytelników płci obojga

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4/5/6 (22/23/24),
303-307

1993

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Kinga Dunin

**Mądralińskie baby,
czyli przechadzka feministyczna
dla czytelników płci obojga**

Nie przypadkiem na przełomie kwietnia i maja (Noc Walpurgii) odbyła się zorganizowana przez Polskie Stowarzyszenie Feministyczne konferencja poświęcona prawom kobiet¹. I ja tam byłam... i wszystkiego wysłuchałam, mowa zaś była o szpitalach położniczych, aborcji, prostytutce, sprawach o gwałt i rozwodach, paktach praw kobiecych, a także o tym i owym. Na zakończenie zaś pewna wiedźma, przedstawicielka polskich lesbijek na uchodźstwie, przeczytała kilka wierszy. Spodobał mi się szczególnie jeden i żałuję, że nie mogę go przytoczyć w pełnym brzmieniu, mogę jednak spróbować napisać go od nowa (z góry przepraszam autorkę, której nazwisko wyleciało mi z pamięci — oczywiście jej wiersz był dużo lepszy).

Wszyscy są tacy postępowi i tolerancyjni.
Rozmawiają z nami, jak gdyby nigdy nic,
ale zawsze chcą zadać tylko
jedno pytanie:

¹ „Prawa kobiet. Instytucje państwowe i społeczne a przemoc wobec kobiet. Medycyna a zdrowie kobiety”, Mądralin 30 kwietnia — 2 maja 1993. Najciekawsze referaty: Małgorzata Fuszara *Kobiety w sądach rodzinnych*, Urszula Masny-Sokołowska *Sprawy o gwałt w Polsce*, Danuta Duch, Elżbieta Przeclawska *Szpital położniczy — bastion totalizmu*.

„Która z was nosi spodnie?”
No dobrze, skoro to takie ważne,
powiem wam:
To ja noszę spodnie.
A czasami ona.
A niekiedy obie jesteśmy bez spodni.

Jeżeli w trakcie konferencji, tak jak w tym wypadku, wysłuchać można kilku przyzwoitych i dwóch bardzo dobrych referatów, a w dyskusjach wszyscy trzymają się tematu, jestem gotowa uznać konferencję za udaną, gdy zaś dodać do tego wycie do księżycy w Noc Walpurgii i poezję — wtedy staje się ona rozkoszna. No właśnie, czy mężczyźni potrafią zorganizować rozkoszną konferencję?

Powróćmy jednak do praw kobiet. Jak się okazuje — pomijając kwestię ustawy antyaborcyjnej — prawodawstwo polskie jest pod tym względem całkiem przyzwoite, odpowiadające światowym standardom i nie naruszające zasady równouprawnienia. Dało się nawet słyszeć głosy, że jest ono zbyt dobre i nie mobilizuje kobiet do walki — najłatwiej bowiem rozpocząć taką walkę pod hasłami zmiany uregulowań prawnych, co dobrze widać było na przykładzie zmagania o prawo do aborcji. Dzięki temu jednak uwaga dyskutujących pań często skupiała się na ciekawszych dla badacza kultury, bardziej ukrytych i subtelnym, symbolicznym mechanizmach opresjonowania kobiet. Bez względu bowiem na literę prawa, w praktyce mamy do czynienia z procesem interpretacji reguł prawnych, w którym do głosu dochodzi kontekst kulturowy, włączając w mechanizm działania prawa cały zasób tradycyjnych stereotypów, zdaniem niektórych — antykobiecych.

I tak na przykład w sprawach o gwałt to kobiety muszą udowodniać, że są niewinne i nie sprowokowały napastnika, gwałt bowiem w opinii większości sędziów to sprowokowane przez kobietę wyzwolenie naturalnej męskiej energii seksualnej. Mimo istniejących możliwości prawnych nie zdarzają się w polskich sądach sprawy o gwałt dokonany na żonie bądź prostytutce — są to kobiety, które z definicji zawsze mają ochotę lub obowiązek odbycia stosunku. Zasada, że jeśli kobieta mówi „nie”, to wszystko, co wydarzyło się później, jest gwałtem, pozostaje w Polsce zupełnie nieznaną, przeciwnie — zakłada się, że kobiety nie należy brać poważnie, a mężczyzna zawsze ma prawo uznać, że choć mówi ona „nie”, to naprawdę myśli „tak”.

W trakcie rozpraw rozwodowych kobieta rozliczana jest ze spełniania tradycyjnych kobiecych czynności i jej niechęć do gotowania obiadów może być użyta jako argument przeciwko niej, nigdy zaś przeciwko mężczyźnie.

Kobiety poddawane depersonalizującym i upokarzającym procedurom

w szpitalach położniczych, nazywanych bastionami totalizmu, nie bronią się, nie wiedzą bowiem, że mają jakiegokolwiek prawa, i nie potrafią nazwać swoich potrzeb.

Prostytutki traktowane są tak, jakby nie istnieli korzystający z ich usług klienci.

Wszystko to razem składa się na obraz kulturowej niewoli i „symbolicznego jarzma”, spod którego ciągle nie może uwolnić się kobieta w Polsce. Zorganizowane przez feministki spotkanie miało jeszcze jeden wymiar — był to także „trening uwrażliwiający”, otwierający uszy na to, jak mówi się u nas o kobietach. Każdy, komu mówiłam, że byłam na Konferencji Feministycznej w Mądralinie, wybuchał gromkim śmiechem: „baby w MĄDRALINIE, ale dowcip!” Chociaż gdy PAN (właściciel ośrodka) organizował tam inne konferencje — a PAN to głównie panowie — nikomu jakoś nie było do śmiechu. To w zderzeniu ze słowem „kobieta” nazwa miejscowości wywoływała natychmiastowe skojarzenia: przemądrzałe baby — nie mądre, lecz mądralińskie.

Rzecz jasna o kobiecie też można powiedzieć, że jest mądra, ale nie jest to najczęściej używany związek frazeologiczny współczesnej polszczyzny. Kobietom przypisuje się raczej rozsądek, a najchętniej „typowy, kobiecy, zdrowy rozsądek”. Zawsze lepiej jest mieć zdrowy rozsądek niż być na przykład oszołomem (warto w tym miejscu zauważyć, że neologizm ten nie dorobił się rodzaju żeńskiego, jakoś nie ma oszołomek!), ale nie zmienia to faktu, że podział na mądrość i rozsądek odzwierciedla głębszą strukturalną opozycję: między wiedzą abstrakcyjną a wiedzą praktyczną, między filozofią czy teorią a intuicją i doświadczeniem. Przy tym pierwszy z członów kojarzony bywa z pierwiastkiem męskim, drugi zaś z kobiecym i mimo wszystkich pełnych hipokryzji zapewnień, ten pierwszy uchodzi za coś lepszego.

Z kolei wszystkie kobiety, które dowiadywały się, że w Mądralinie nie było żadnego mężczyzny (zwanego w miejscowej gwarze „dysonansem”), wykrzykiwały: „co? trzy dni z samymi babami, ja bym tego nie wytrzymała!” Gdyby zareagowała tak jedna czy druga pani, można by powiedzieć, że wchodzi tu w grę indywidualne preferencje, do których w końcu wszyscy mamy prawo, ale powszechność tej reakcji każe przypuszczać, że u nas po prostu tak SIĘ mówi. Ciekawe dlaczego? Grupy powstałe w oparciu o kryterium płci nie są niczym nadzwyczajnym. Znane są opisy kultur, w których poza momentem kopulacji mężczyźni i kobiety rzadko kontaktują się ze sobą, albo wręcz mówią innymi językami. Także w naszej kulturze istnieją takie jednopłciowe grupy czy instytucje. Jeśli są one domeną mężczyzn — kluby, wojsko, stan kapitański — kobiety często pragną do nich wstępu, lecz mężczyźni bronią się przed tym, wyraźnie ceniąc sobie

własne towarzystwo. Przypuszczam, że mężczyźni nie odżegnywaliby się tak gremialnie od spędzenia trzech dni jedynie w męskim gronie. Przeciwnie, wielu twierdziłoby, że wręcz o tym marzy. Podkreślam, że zajmujemy się tutaj tym, co ludzie mówią, a nie tym, czego naprawdę chcą. Nie wypowiadam się więc o głęboko skrywanych motywach psychologicznych, tylko o autoprezentacji w dyskursie symbolicznym. Po prostu kobiety mówią, że nie lubią innych kobiet, a mówią tak, ponieważ pogodziły się z tym, że kasta kobiet jest gorsza. Kobiety chcą należeć do męskich klubów.

Mówiąc tak, w gruncie rzeczy godzą się na swoją zależność od mężczyzn (w końcu to dla nich stworzył je Dobry Pan Bóg), po co zatem miałyby coś robić, gdy żaden z nich ich nie obserwuje? W ten sposób dokonują także totalizacji kryterium płciowego, które dominuje wszelkie ich relacje ze światem. A przecież nic nie stoi na przeszkodzie aby uznać, że podział na kobiety i mężczyzn dobry jest w łóżku, a na konferencji naukowej ważne jest to, co się mówi, a nie jakiej płci jest audytorium. Kobieta totalna nie potrafi jednak tak myśleć.

Ta totalizacja własnej płci, rozpatrywanie rzeczywistości z perspektywy „ja jako kobieta” czyni z wszystkich kobiet potencjalne feministki. Takie opieranie samoidentyfikacji na jednym wyznaczniku jest zresztą charakterystyczne dla wszystkich upośledzonych społecznie grup. Jednak aby zostać feministką, trzeba mieć odwagę przyznania się do tego. Feministki to kobiety, które uczyniły z własnej płci ideologię, a zarazem naprawdę się polubiły, choć w naszej kulturze nie jest to wcale łatwe. (Nie twierdzę oczywiście, że feministki nie mają przy okazji do załatwienia żadnych innych ważnych spraw, ale myślę, że są to sprawy istotne dla wszystkich ludzi, wyznających ideologię — nazwijmy ją: socoliberalną.)

Dlaczego więc kulturowo upośledzone i totalizujące własną płciowość kobiety nie zostają częściej feministkami?

Czy powodem jest tylko ta fundamentalna zależność od mężczyzn — ich świata i ich ocen — oraz poczucie degradacji uniemożliwiające samoakceptację?

Odpowiedź na to pytanie możemy także odnaleźć analizując warstwę semantyczną terminów „feminizm” i „feministka” używanych w polskim dyskursie publicznym. Choć pozornie nie są to słowa obraźliwe, funkcjonują przede wszystkim jako określenia negatywne — tego, kim się nie jest.

Pamiętam wywiad udzielony przez pewną prominentną przedstawicielkę nurtu lewicowego, w którym głosząc wyraźnie feministyczne poglądy, zastrzegła co chwile, że nie jest feministką. Rzecz jasna, nie musiała nią być, ale skąd ta potrzeba nieustannego podkreślania tego faktu, mimo

że nie czyniono jej takich zarzutów? Czyżby było coś złego w byciu feministką? Oświadczenia tej treści złożyły także Barbara Labuda i Anna Popowicz. Na konferencji feministycznej nie pojawiła się żadna z zaproszonych ważnych pań, co organizatorki skwitowały zdaniem: „nikt przed wyborami nie chce zaryzykować oskarżenia o feminizm”.

Feministki są również czymś w rodzaju niezbyt poważnego stracha na wróble, którego używa się, gdy samemu nie ma się odwagi wypalić do natrętnych ptaków z wiatrówki. W takich sytuacjach fraza brzmi: „feministki by się obraziły...” Kiedy na przykład ksiądz Jankowski mówi, że jak powszechnie wiadomo, kobiety myślą inaczej niż mężczyźni, nie powinny więc zajmować się pracą zawodową, rozmawiający z nim Michał Ogórek odpowiada: „No, feministki to by się obraziły”. Feministki. Bo poczucia zdrowego rozsądku pana Ogórka jakoś ten sąd nie obraża.

Jak widać w Polsce nadal stosowana jest retoryka antyfeministyczna. Chociaż na poziomie deklaratywnym feminizm jako opcja światopoglądowa jest dopuszczalny, na poziomie komunikacyjnych praktyk jego prawomocność jest nieustannie podważana. To już nie tylko mizoginizm, czyli niechęć do kobiet w ogóle, to szczególny rodzaj niechęci do kobiet, które tego powszechnego mizoginizmu nie podzielają. Trudno w tej sytuacji dziwić się kobietom nie mającym odwagi zająć pozycji tak niepewnych w sensie kulturowej legitymizacji. Wygląda na to, że zostać feministką to prawie tak, jak zostać Żydem: niby nikt nie jest antysemitą, ale...

Nie jestem feministką (nie sądzę, aby płeć mogła wystarczyć jako ideowy samoidentyfikator; poza tym sama zdyskwalifikowałam się, poszukując ośrodka w Mądralinie — na wręczonym mi przez organizatorki planie koło nazwy ośrodka widniało kółko z krzyżykiem, w związku z tym byłam pewna, że najpierw należy poszukać jakiegoś kościoła!), ale sprzyjając polskiemu ruchowi feministycznemu uważam, że dziś w Polsce przeżytkiem jest powtarzanie, że wszyscy jesteśmy niemieckimi Żydami — dziś naszej solidarności potrzebują też inne grupy. Pora więc na nowe hasło: wszyscy jesteśmy polskimi feministkami!